

Konrad Wojewódzki

Zniknięcie Arlekina

Pewnej nocy Arlekin planował zapaść się pod ziemię.

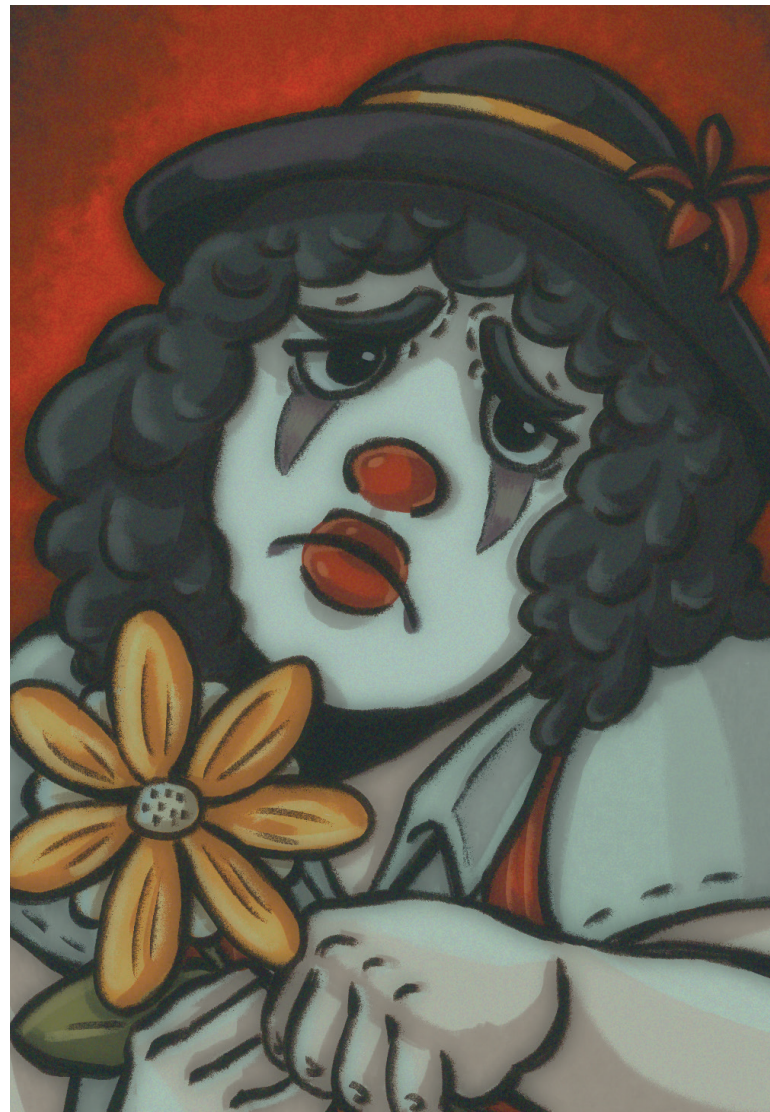
Przy czym, od razu zaznaczę, nie ja miałem być adresem tej sztuczki. Nie doszukiwałem się też jednak – chyba – wyróżnienia w tym, że mnie jako jedyne, nie wskazując wprawdzie konkretnej daty, ostrzegł nieco wcześniej o swoim zamierzonym zniknięciu z Krakowa. Biorąc pod uwagę okoliczności, pewnie po prostu ciężko byłoby mu zwieść mnie czy oszukać, wymknąć się niepostrzeżenie z pokoju, w którym razem mieszkaliśmy. Może i mnie początkowo chciał opuścić śpiącego, nazajutrz pozostawiając za sobą do rozwikłania zagadkę najdziwniejszego zjawiska, na jakie mogłem się natknąć w Krakowie: jego pustego materaca o poranku (przez cały okres wspólnego życia ten człowiek literalnie nigdy nie wstał rano, co w moim przypadku może nieczęsto, ale się zdarzało), widocznie jednak zdawał sobie sprawę z ryzyka niewtajemniczenia mnie, zaś efektu chciał być więcej niż pewny. A może chodziło mu o coś zupełnie innego? Ciężko powiedzieć. W każdym razie jako jedyne spodziewałem się jego zniknięcia, będącego – o czym wówczas jeszcze nie wiedziałem – największym przedsięwzięciem Arlekina w perspektywie długich lat, w kierunku których tej właśnie nocy wyruszał. Może szkoda, może ja właśnie ze wszystkich najbardziej doceniłbym ten kunszt, ten pomysł, fantazję i wykonanie.

Niemniej byłem przygotowany.

„Długo i niedługo”, myślałem wybudzony z płytkiego snu. Leżałem z zamkniętymi powiekami, przysłuchując się krzątaniu kogoś, kto usilnie stara się być absolutnie cicho, ale pewna przyrodzona niezgrabność strzelistej sylwetki niweczy jego wszelkie wysiłki. Kiedy zdałem sobie sprawę, że odkąd zamieszkał w Krakowie, jeszcze nigdy nie wstał tak wcześniej, zachciało mi się śmiać, zdołałem jednak odegnać domagające się ujęcia rozbawienie. Nie miałem zamiaru przeszkadzać, nie otwierałem oczu, udawałem, że śpię. Na powrót sposępniały zastanawiałem się, czemu akurat tej nocy. Noc była pewnie przypadkowa. „Więc do jakiej drogi tak naprawdę się szykujesz?” – to było nieskończenie ważniejsze pytanie.

Pokraczny szmer – budowany z niedoszacowanych czynności; z serii pojedynczych gestów przerywanych

chwilami niezdecydowanego zawieszenia i zbędnego nasłuchiwania oddechów: mojego oraz Pauli śpiącej w pokoju obok; pełen jęknięć ściskanych rzeczy; złośliwych skrzypnięć rozmytej w ciemności materii – już dłuższy czas skrobał nocną ciszę wypełniającą pokój, kiedy w końcu postanowiłem się ujawnić.



Gabriela Mioduszewska / PLSP w Supraślu

– Idziesz? – zapytałem rześkim, spokojnym głosem, nie wyciągnąwszy nawet rąk spod głowy i nie otworzywszy oczu.

– Nie śpisz? – zapytał w odpowiedzi zaskoczony Arlekin, próbując odnaleźć w ciemności kształt mojej twarzy.

– Nie. Więc to dzisiaj? – wyrwało mi się bezsensownie.

Może jakaś część mnie liczyła, że się rozmyśli albo że powód tej krzątaniny jest zupełnie inny. Może coś go boli i szuka leków? W jego przypadku szukanie czegoś przez tak długi czas nie byłoby niczym nierealnym. Ale dzisiejszą ciemność wypełniała inna aura, niecodzienna, naznaczona lekko uchwytnym, ale tak charakterystycznym zapachem toreb podróżnych, zakurzonych i stęchłych, wyciągniętych po długim czasie jałowego bezruchu. Arlekin, widząc, pytanie uznał za retoryczne lub też chciał odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy, bo i co miałby mi odpowiedzieć? „Tak”?

– Pożegnasz się z Paulą? – zagadałem więc znowu, tym razem sensownie. – Nie domyślała się, że to będzie już. Tak szybko.

– Nieee... Chcę jej tego zaoszczędzić...

„Jaki on jest romantyczny”, pomyślałem na poły ironicznie, na poły naprawdę rozczulony.

– Zaopiekuj się Paulą jeszcze bardziej – dodał.

Zaśmiałem się na te słowa – szczerze, choć nieintencjonalnie mnie rozbawił. Nie pierwszy raz. Podręcznikowy tekst w jego ustach. Cały Arlekin.

– Ale ty to jesteś, kurwa, dupek – odpowiedziałem z szerokim uśmiechem na ustach, wiedząc, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę, tylko od czasu do czasu należy mu o tym przypominać.

Zaśmialiśmy się obaj śmiechem, który jednak nie rozładował napięcia. Prawdę powiedziawszy, wywołał efekt odwrotny do zamierzonego. Obaj westchnęliśmy.

– Mówiłem wtedy poważnie, będę cię widział. Będę miał cię na oku.

Usłyszałem jego kolejne westchnięcie, po czym znów zaczął skrobać ciemność szmerami niezgrabnej krzątaniny.

Aż po długim czasie i owe szmery w końcu przepadły. „Skończył”, pomyślałem. Nastąpiła cisza, przywracając ciemności pozór naturalnego wymiaru, nocnego bezruchu, złudzenie zwyczajnego, zastalego spokoju. W samym jej środku tkwiło jednak pulsujące napięcie. Trwało

to wszystko nieznośnie długo – napięcie, mrok i zawieszona w nim cisza. Zwlekaliśmy, bo za tym momentem – nie miałem już wątpliwości – definitywnie rozciągał się koniec.

– To... do zobaczenia... kiedyś... – Usłyszałem w ciemności głos Arlekina.

Wstałem z łóżka i podszedłem do niego.

– Wracasz?

– Myślę, że daleko dalej niż tam, skąd przyszedłem.

Chciałem wyluskać z ciemności jego spojrzenie, licząc, że może w oczach znajdę jakąś podpowiedź, na szybko próbując zrozumieć te dziwne słowa. Nie wychwyciwszy w pełni ich właściwego sensu albo zadowolony się wówczas najprostszą interpretacją, poddałem się wreszcie, zachowując je w pamięci na przyszłość.

– W takim razie... – „...skoro podjąłeś taką decyzję...”, dodałem w myślach – ...do zobaczenia następnym razem – powiedziałem, po czym wzięliśmy się w niedźwiedzi uścisk.

Nie pamiętam, czy uścisk był długi, czy krótki. Czy Arlekin był pewny w tamtym momencie i spokojnie poddawał się swojemu wyrokowi, czy też zniecierpliwiony pragnął wreszcie wyruszyć w daleką, powrotną drogę, skoro już podjął decyzję wieńczącą – mogę się założyć – długą, nużącą, wewnętrzną walkę pełną oporów i wątpliwości. Wziął z podłogi swoje rzeczy, przechodząc przez drzwi, odwrócił się raz jeszcze, rzucił „do zobaczenia” i zniknął po paru krokach. Pochłonęła go noc – najciemniejsza, jak zawsze, przed świtem. Dla niego jednak, o czym wówczas nie wiedziałem, prawdziwy świt nadejść miał dopiero lata później.

Poszedłem do pokoju Pauli. Nawet nie wiem, czy w ogóle zajrzał do niej przed wyjściem. Pewnie tak. Wciąż spała, niczego nieświadoma. Patrzyłem na nią i myślałem sobie: zostałem sam. Patrzyłem na nią i myślałem sobie: a ona została ze mną. Obudzi się rano i tak jak zawsze, jak gdyby nigdy nic, przyjdzie się z nami przywitać. Zobaczy opustoszały, dawno wyziębnięty materac Arlekina i od razu zrozumie, że nigdy więcej już go z nami nie będzie. A potem przychodzić będą wszyscy inni. I nic nie rozumiejąc, zaczną dociekać. „Jak to – zniknął? Czemu? Dlaczego? O co chodzi?” – takie z pewnością padną pytania, a ja będę bezradny. Sam je sobie przecież zadaję.

Poszedłem do siebie i usiadłem na łóżku. Dosłownie chwilę potem w czerń nocy zaczął się wsuwać przedświt,

wypełniając pokój szarymi kształtami rzeczy. Wśród nich materac, na którym przez nieskończone przedpołudnia spał Arlekin – do tej granicy zwanej teraz. Z każdym momentem wystrzał się przede mną na podłodze, eksponując swoją nienaturalną pustkę, w jednej chwili pozbawiony całego swojego znaczenia. Nieodwołalnie opuszczona twierdza obronna, dotychczasowy bastion i schron, w którym Arlekin krył się przez długie ostatnie tygodnie, niewysadzony nawet w powietrze przez resztki wojsk wycofujących się w rozsypce, ostatecznie rozgromionych przez odwieczne sprzysiężenie wrogich sił. Materac, a na nim pościel przykryta kocem. Co miałem z tym zrobić? Z jego materacem, z jego pościelą, kocem, jego najbliższymi, osobistymi rzeczami, które postanowił zostawić za sobą, aby nie obciążały go w najtrudniejszej podróży? Wyrzucić? Przekładać

z miejsca na miejsce? Pozbawione kontekstu stały się zbędne, niepotrzebne, będąc najwyżej świadectwem niegdysiejszej obecności Arlekina w tym miejscu, obecności już teraz, w tym momencie, dziwnie abstrakcyjnej, z każdą kolejną minutą coraz bardziej niewiarygodnej.

A więc i on. Najpierw Filip, teraz Arlekin. Najwyżej zniknął któreś nocy z Krakowa, z naszej rzeczywistości. Był jeszcze wczoraj i nie ma go – na dobre – i już literalnie nigdy, tego byłem pewny, nie będziemy mieli okazji współistnieć w codzienności, współtworzyć razem jakiegokolwiek zwykłego dnia.

Co miał na myśli, mówiąc, że wraca „daleko dalej niż tam, skąd przyszedł”? Dokąd? Co go czeka?

Położyłem się na łóżku i długo jeszcze leżałem, bardzo długo leżałem, nim w końcu zasnąłem.

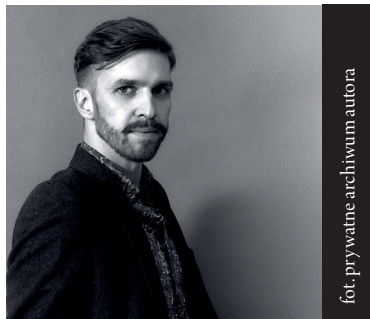


foto: prywatne archiwum autora

KONRAD WOJEWÓDZKI

– lat 32, z zawodu prawnik, przed debiutem literackim. Najmocniej zafascynowany Polską. Mentalnością ludzi, specyfiką regionów i miast, środowiskiem naturalnym, kulturą, a wreszcie historią – nadającą temu wszystkiemu linie zgodnie ze swoim porządkiem. Obserwator i uczestnik przemian. Ciekawy świata – zarówno centrów, jak i bezdroży biegnących jego peryferiami. Warszawiak wychowany na drugim, macoszym brzegu stolicy. Związany z Krakowem, Wrocławiem i Lublinem. Syn, brat, mąż i ojciec. Przyjaciel kilku osób.



Oliwia Wasilewska / PLSP w Supraslu